

Biblioteka  
U. M. K.  
Toruń

283862

**BRAT I SIOSTRA.**  
**OBRAZEK DRAMMATYCZNY,**  
z **Göthe**'go  
przełożył  
**John of Dycalp.**



**WILNO.**

1846.

*Handwritten in purple ink:*  
Biblioteka Uniwersytecka  
Toruń

1286

E 1

**BRAT I SIOSTRA.**

**BRAT I SIOSTRA.**

**OBRAZEK  
DRAMMATYCZNY,**

**z Göthe'go**

przełożył

**John of Dycalp.**



---

**WILNO.**

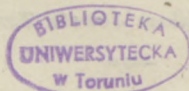
**Nakładem i Drukiem Józefa Zawadzkiego.**

**1846.**

Pozwolono drukować pod warunkiem, aby po wydrukowa-  
niu, złożone były w Komitecie Cenzury, egzemplarze prawem  
przepisane. Wilno, d. 12 Czerwca 1846 r.

*Pełniący obowiązek Cenzora,*

J. Fok.



283.862

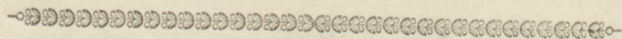
H. 1753/57

## DROGIĘJ SIOSTRZE

na pamiątkę.

*My sister! my sweet sister! if a name  
Dearer and purer were, it should be thine.*

BYRON.



**WILHELM**

*(przy pulpicie, rospatruje księgi handlowe i papiery).*

W tym tygodniu dwa nowe zakazy! Trzeba się tylko ruszać, a zawsze coś nabieży. Choć to są sobie drobiazgi, w końcu jednak summują się przecież. Kiedy się gra w grę małą, cieszy i najmniejsza wygrana; a będzie mała strata, to łatwo się odboli. — Cóż tam?

**POCZTYLIJON.**

List ciężki, dwadzieścia dukatów, zafrankowane w połowie.

WILHELM.

Dobrze, bardzo dobrze! Zapisz drugą połowę na mój rachunek.

(Poczytył on wychodzi).

— Przez cały dzień nie chciałem dziś sobie powiedzieć, że na ten list oczekiwałem. Teraz mogę natychmiast uścić się Fabrycemu i nie nadużyję już więcej jego dobroci. Gdy mi on wczoraj powiedział: „jutro będę u ciebie,” jakby mię co zabolalo. Wiedziałem, że mi się on przykrzyć nie będzie; ale cóż, kiedy w takim razie sama jego obecność podwójnie mi jest przykra? (Otwiera szkatulkę i liczy pieniądze). Dawniej, kiedy się trzymał i rozrządzał większym domem, najtrudniej mi było z milczącymi wierzycielami. Z człowiekiem, który cię wечно ściga i trzyma w obłączeniu, dość jest być czelnym i bez

wstydu; ale milczący prosto ci trafia do serca i nastaje najdolegliwiej, gdyż tobie samemu zdaje się swą sprawę. (Układa pieniądze na stole). Dzięki Ci, laskawy Boże, żeś zdjął ze mnie ten ciężar i przeniósł mię znowu do mierności. (Bierze księgę). Twoje błogosławieństwo w drobnych obrótach... temu, który Twemi wielkimi darami pogardził. Chociaż, być może... jeśli tak śmiem powiedzieć... nie uczyniłeś nic dla mnie, jak i ja sam nie czynię nic dla siebie. Bez tej lubej tak miłej mi istoty czyliż-bym tu siedział i porównywał moje księgi? O Marijo! jeśli byś wiedziała, iż ten, co go masz za brata, pracuje dla ciebie z innem całe sercem i z innemi nadziejami!.. może!.. Ach!... to jednak boleśnie!.. Ona mię kocho — tak, jak brata!.. Ale fe! znowu niedowierzenie, któ-

re nigdy nie jeszcze nie wydało dobrego!  
 Marijo! ja będę szczęśliwym! I ty nią  
 będziesz, Marijo! (MARIJA *wbiega*).

MARIJA.

Czego chcesz? bracie! Wolaleś mnie.

WILHELM.

Ja? nie, Marijo!

MARIJA.

Potrzeba-ż ci było dla tego żartu wy-  
 wolywać mię aż z kuchni?

WILHELM.

Ale to ci się znowu przywidziało!

MARIJA.

Nie, wybacz! Zbyt dobrze znam twój  
 głos, Wilhelmie!

WILHELM.

I cóż tam tak robisz?

MARIJA.

Nie; oskubałam tylko parę gołębi: bo  
 zapewne Fabrycy będzie dziś u nas na  
 wieczerzy.

WILHELM.

Może.

MARIJA.

Wnet one będą gotowe, tak, że będę  
 mogła je podać na pierwsze twoje zawo-  
 łanie. Ale on mię musi nauczyć swojej  
 nowój piosenki.

WILHELM.

A ty lubisz bardzo uczyć się od niego?

MARIJA.

Piosenki umieć on bardzo ładne. Igdy  
 ty siedzisz przy stoliku ze spuszczoną gło-  
 wą, to zacynam je zaraz: bo wiem dobrze,

że uśmiejniesz się mi zawsze, byle ci tylko zacząć jaką ulubioną.

WILHELM.

Takeś mnie już w tém poznała?

MARIJA.

Ale tak! Któżby znów was mężczyzn od razu nie poznał?—Jeśli mi jednak nie masz nic pilniejszego, to już wychodzę: bo mam trochę jeszcze do roboty. Adieu! proszę mię tylko pocałować na zgodę.

WILHELM.

Jeśli gołębie będą dobrze upieczone, to ci jednego ofiaruję na wety.

MARIJA.

A to jest plaga Boska, jacy ci bracia grubijanie! Jeśliby Fabrycy albo inny jaki młody chłopiec miał dostać pocałunek,

pewnieby z radości podskoczył do sufitu; a tu Pan gardzi, ponieważ go o to wyzwalam. — Ale co teraz, tom popaliła moje gołębie! (*Wybiega*).

WILHELM.

Aniol! kochany aniol! Zem się też mógł powstrzymać i nie rzucił się jój na szyję, wyznając wszystko! — Patrzysz-że na to z wysoka, święta kobięto, coś mi ten skarb zleciła? O, oni wiedzą o nas, oni tam o nas wiedzą!.. Karolino! nie mogłaś za moję ku tobie miłość lepiej i święciej mi wynagrodzić, jak żeś rozstając się ze mną, powierzyła mi swą córkę. Dałaś mi wszystko, co mogło mię przywiązać do życia. Kochałem ją, jak twoję córkę. A teraz... nie jest-że to najslodsze dla mnie złudzenie: jakbym cię widział przed sobą znowu, jak gdyby cię los odmłodził dla mnie,



abym mógł żyć odtąd z tobą nierozdzielnie, jak tego pragnęła dusza w tym pierwszym śnie swojego życia, który nie mógł i nie powinien był się ziścić! O, dzięki Ci, dzięki za to szczęście! mój Boże!

*(Wchodzi FABRYCY).*

FABRYCY.

Dobry wieczor.

WILHELM.

Kochany Fabrycy! widzisz mię nad wyraz szczęśliwym. Wszystko dobre dziś ze mną. Tylko-ż nie o interesach. Oto twoje trzysta talarów. W kieszeń! Kwit mi zwrócisz. A teraz sobie pogadamy.

FABRYCY.

Jeśli ich nadal potrzebujesz—

WILHELM.

Jeśli będę potrzebował, to dobrze! Je-

stem ci zawsze wdzięcznym. Tylko teraz weź je do siebie.—Posłuchaj! pamięć Karoliny uobecniła się mi dzisiaj tak żywo, jak nigdy.

FABRYCY.

To ci się zdarza często.

WILHELM.

Ach! gdybyś ją znalazł! Powiadam ci, była to najrzadsza istota.

FABRYCY.

Już była wdową, gdyś ją poznał?

WILHELM.

W całej piękności ciała i duszy! Wczoraj jeszcze odczytywałem sobie jeden z jej listów. Przed tobą tylko jednym odkryłem coś z tego mojego skarbu.

*(Biegnie do szkatułki).*

FABRYCY (*do siebie*).

Jeśliby mię on tylko teraz oszczędził! Tyle razy slyszalem już tę historiją. Zwykle slycham jój mile, gdyż mówi on z serca; ale dziś zupełnie mi nie to w myśli. A właśnie potrzeba mi go utrzymać w dobrym humorze.

WILHELM.

Było to w pierwszych dniach naszego zbliżenia. „Świat — pisze ona — znowu „staje mi się miłym; ten świat, z którym „zerwałam, znowu mi staje się miłym, „z Jego powodu. Wyrzucam to sobie, „gdyż czuję, że Jemu i sobie przyczynię „niemalo cierpień. Przed półrokiem by- „lam gotową umrzeć; teraz nie jestem.”

FABRYCY.

Piękna dusza!

WILHELM.

Świat nie był jój godzien. Mówilem ci nieraz, jak przez nią stałem się zupełnie innym człowiekiem. Nie umiem ci opisać mojej boleści, gdy, obejrzawszy się dokola, ujrzałem mój majątek na schyłku. Nie śmiałem jój ofiarować méj ręki, bo nie zdołałbym przynieść ulgi w jój losie. Wtedy to po raz pierwszy uczulem chęć zapracowania sobie na uczciwe mienie i wydarcia się z tęsknoty, która dni moje dotąd zabijała. Jałem się więc pracy... ale cóż? Rok cały przepracowałem ciężko, aż wreszcie błysnął mi i promyk nadziei: szczupły mój mająteczek powiększył się widocznie. Wtém ona umiera! Jakem to przenosił, com ucierpiał, nie pojmiesz nigdy. Nie mogłem ani widzieć tych miejsc, gdzie przy niej żyłem, ani porzu-



cić ziemi, w której ona spoczęła. Przed  
samym niemal zgonem pisała do mnie.

*(Wyjmuje list ze szkatulki).*

FABRYCY.

List pełen czułości, prześliczny. Czy-  
tales mi go niedawno. Posłuchaj, Wil-  
helmie!

WILHELM.

Umiem ten list na pamięć i czytam go  
zawsze. Bo gdy widzę jój pismo, ten pa-  
pier, na którym jój ręka spoczęła, zda mi  
się, że ona tam jest jeszcze. Bo też i jest.  
*(Słychać krzyk dziecięcia).* Że też ta Marija  
nigdy nie może być spokojną! Znowu z tém  
dzieckiem naszego sąsiada, z którym się  
wodzi codzien, i naprowadza mi tego  
chłopca w porę czy nie w porę. *(U drzwi)*  
Marijo! każ mu się uspokoić, albo ode-

szlij, kiedy niegrzeczny. Mamy do po-  
mówienia. *(Staje zamysłony).*

FABRYCY.

Nie powinien-byś tak często trapić się  
tými wspomnieniami.

WILHELM.

Były to wyrazy ostatnie! ostatnie po-  
żegnalne technienia umierającego anioła!  
*(Sklada list).* Ale masz słusność, że dopusz-  
czam się grzechu. W rzeczy samój, tak  
rzadko jesteśmy godni doznawać chwil  
szczęścia z upłynionego biednego życia!

FABRYCY.

Twój los zawsze mię z serea obchodzi.  
Zostawiła ona córkę, jakęś mi mówił,  
która na nieszczęście wkrótce poszła za  
matką. Gdyby ci była pozostała, miał-byś

przynajmniej po niej cokolwiek, na czém-  
by twa boleść i myśli spoczęły.

WILHELM

*(obracając się ku niemu z żywością).*

Jéj córka? O, był to kwiat cudny! Ona  
mi go oddała... Tak, los zbyt wiele zro-  
bił dla mnie. Jeślibym ci mógł wszystko  
powiedzieć, Fabrycy!...

FABRYCY.

Jeśli to ulży twemu sercu.

WILHELM.

Lecz i dla czegoż-bym nie mógł?

*(Wchodzi MARIJA z dziećciem).*

MARIJA.

On ci chce jeszcze oddać dobra-noc, mój  
bracie! Tylko-ż nie pokazuj mu téj kwa-  
śnej miny, ani mnie także. Zawsze mó-

wisz, że chciałbyś się ożenić i mieć wiele  
dzieci. Otoż pamiętaj, że nie zawsze je  
można trzymać tak na pasku, aby ci krzy-  
czały tylko w samą porę.

WILHELM.

Jeśliby to były moje dzieci!...

MARIJA.

Zapewne, że w tém musi być różnica.

FABRYCY.

Tak myślisz? Marijo!

MARIJA.

O, to być musi wielkie szczęście! *(Na-  
chyła się i całuje chłopczyka).* Ja tak lubię Kry-  
stijanka! Cóż dopiero, gdyby on był mo-  
im? Kiedy już teraz nauczył się on mi  
syllabizować —

WILHELM.

To myślisz sobie, że twój umiał-by już czytać?

MARIJA.

A rozumić się! Bo jabym go cały dzień to ubierała, to rozbierała, to uczyła, to karmiła, to uczesowała, to rozdzielala mu włoski —

FABRYCY.

A mąż?

MARIJA.

On-by się z nim bawił, i jestem pewną, że też lubił-by go bardzo. — Ale Krystijanek idzie już do domu i przyszedł się pożegnać. *(Podprowadzając go do WILHELMA)* No, ukłoń-że się pięknie i podaj prawą rączkę.

FABRYCY *(na stronie)*.

Kochane dziewczę! Dziś nieodmiennie muszę jój wszystko powiedzieć.

MARIJA

*(podprowadzając chłopczyka do FABRYCEGO)*.

Temu Panu także.

WILHELM *(na stronie)*.

I ona będzie twoją! ta droga Maryleczka!... Och! to już nazbyt! Czyżem ja go-dzien? *(Głośno)* Marijo! odprowadź dziecię do domu i zatrzymaj Pana Fabrycego na wieczera. Ja tymczasem obiegnę parę ulic. Siedziałem dzień cały.

*(MARIJA wychodzi)*.

WILHELM *(do FABRYCEGO)*.

Pozwolicie mi chwilę odetchnąć pod

otwartém niebem. Serce me tak pełne! (*Wychodzi*).

FABRYCY.

No, kończ-że już, Fabrycy! Zamiar twój nie będzie nigdy dojrzałszym, chociaż- byś się z nim kurstał setne lata. Wszak- żeś sobie postanowił— i dobrze, i ślicznie! Wspierałeś jój brata, a ona.... O, ona mię nie kocha tak, jak ja ją kocham. Bo też ona i nie może kochać gwałtownie. Drogie dziewczę! ani domyśla się po mnie zapewne innego uczucia, oprócz przyjaźni! ale miejmy nadzieję w Bogu, Marijo! będziemy szczęśliwi!— Nad terażniejszą sposobność do oświadczenia się jój nie mógłbym nawet sam sobie stworzyć lepszej. Jeżeli tylko jój serce mną nie gardzi, to o pana brata jestem spokojny.

(*Wraca MARIJA*).

FABRYCY.

Jak-że to Krystijanek tak prędko dał się pożegnać?

MARIJA.

Zatrzymała-bym go dłużej, ale kiedy mój brat nie zawsze na niego laskaw. Wieczorami zwłaszcza nie daje mi go utrzymać, aby nie napierał się tak często nocować przy mnie.

FABRYCY.

Bo zapewne i w nocy nie musi on być spokojnym.

MARIJA.

O, nie, weale. Ten lotrzyk przez cały dzień niezbiegany, jak tylko go położyć w łóżko, dobry jak baranek. Czysty kotek. I tuli się, i lasi, i mili do mnie, tak, że nieraz ledwie go mogę uścić.

FABRYCY

*(mimowolnie półgłosem).*

Słodka szczérota!

MARIJA.

Zdaje się nawet, że on mię lubi więcej, niż matkę.

FABRYCY.

Boś dlań drugą matką, Marijo! *(MARIJA zamysła się.—FABRYCY patrzy na nią czas niejaki).* Czy to imię matki powodem do tego smutku?

MARIJA.

Nie, nie smutku: ja sobie tylko myślę.

FABRYCY.

O czém? droga Marijo!

MARIJA.

Myślę sobie, tak — o niczém nie myślę.

Czasem mi jakaś taka myśl przyjdzie....  
nie wiem sama.

FABRYCY.

Nigdyż-byś sobie nie życzyła Marijo?....

MARIJA.

Cóż to znów za pytanie?

FABRYCY.

Czyliż-by śmiał Fabrycy?....

MARIJA.

Abym życzyła... nie, nigdy, Fabrycy!  
Choć co mi czasem i przyjdzie do głowy,  
to nie na długo. Opuścić mojego brata,  
tegotbym znieść nie potrafiła, to nie podobna,  
jakikolwiek-by szczęście mogło  
mię spotkać gdzieindziej.

FABRYCY.

Ależ to wszakże dziwnie! Jeślibyście

mieszkali w jedném mieście, niedaleko siebie, czyż-by to znaczyło go opuścić?

MARIJA.

O, nigdy! Ktożby mu doglądał gospodarki? Kto by miał o nim staranie? czy służąca?.. albo go z kim ożenić?.. Nie, w żaden żywy sposób!

FABRYCY.

Czyliż-byście nie mogli osiąść razem? Czyż-by w twym mężu, Marijo, brat nie mógł mieć przyjaciela? Czyż-byście we trojgu nie mogli złożyć równie szczęśliwój, szczęśliwszój nawet gospodarki? I bratu twemu czyliż-by to nie zrobiło ulgi w jego kłopotliwych zajęciach? O, co-by to mogło być za życie!

MARIJA.

Warto-by o tém pomyśleć... Tak, jak

sobie nad tém myślę, to jest prawda.... ale gdzie-ż tam znowu! to być żadną miarą nie może.

FABRYCY.

Co tego, to już nie nie pojmuje!

MARIJA.

Widzisz-bo, Panie Fabrycy, jak teraz, to u nas tak jest: — Skoro się obudzę, słucham, czy mój brat wstał już, czy nie jeszcze? Jeżeli nic w domu ani szerchnie, to ja sobie cichutko schwycę się z łóżka, i do kuchni, i rospalę drewna, tak, że nim wstanie służąca, to już moja woda bieży i pryska. Ledwie więc on otworzy oczy, kawa gotowa.

FABRYCY.

Zawzięta gospodyńka!



## MARIJA.

Potém siadam robić dla niego pończochę, i puszczam się na rozmaite psoty: przymierzam mu ją po dziesięć razy: czy nie krótka? czy wczesna? czy nie za obszerna? tak, że nieraz przyprowadzę go do niecierpliwości. Nie idzie mi o miarę; radabym tylko wynaleść przyczynę, aby na mnie popatrzył, oderwał się trochę od wiecznego pisania i nie nabierał hipokondrii. Bo że mu weselój na sercu, gdy na mnie patrzy, widzę to z jego oczu, choć mi on tego dostrzedz nie daje, jak może. Nieraz mię w duchu śmiech bierze, kiedy się on nastraja być poważnym albo gniewać. Ale dobrze robi: bo inaczej cały dzień-bym go dręczyła.

## FABRYCY.

Jaki on szczęśliwy!

## MARIJA.

O, nie, to ja jestem szczęśliwą. Gdybym go nie miała, nie wiedziałabym, co począć na świecie. Wszystko to robię ja dla siebie, a zda mi się, jakbym robiła dla niego: bo we wszystkiém, cokolwiek tylko robię, zawsze myślę o nim.

## FABRYCY.

A gdyby to wszystko robiło się dla męża, jakież-by on był szczęśliwy! jak wdzięczny! i jak błogosławione mielibyście życie!

## MARIJA.

Czasem wyobrażam ja to sobie; i kiedy siedzę z pończochą albo szyję, to umiałabym sobie długą opowiedzieć historiją, jakby to wszystko było? ale cóż, kiedy, jak tylko przychodzi do prawdy, tak zaraz wszystko ani jak się nie klei.

FABRYCY.

Czemu-ż to?

MARIJA.

I gdzież jeszcze taki mąż się urodził, któryby przyjął miłe, gdybym mu powiedziała: „ja cię kochać będę,” i gdybym musiała przydać: „ale więcej niż mojego „brata kochać cię nie mogę; a zatem jak „było dotąd, tak i dalej bez odmiany „wszystko będę robiła dla niego.” Otoż sam widzisz jasno, Fabrycy, że to w żaden sposób się nie składa.

FABRYCY.

Ale-ż z czasem oddzieliła-byś część i dla męża, przeniosła-byś na niego swą miłość...

MARIJA.

Otoż-bo w tém i sęk właśnie! Ba, gdy-

by to miłość kursowała sobie z ręki do ręki, jak pieniądz, albo co kwartał mogła sobie odmieniać pana, jak zła służąca! Ale-ż kiedy mąż chciałby mieć wszystko co już jest *tutaj*, i co gdzieindziej być nie może—

FABRYCY.

Wiele się może i robi.

MARIJA.

Tego nie wiem; wiem tylko, że kiedy on siedzi przy stoliku z głową opartą na rękę, ze spuszczonei oczyma, i smutnie duma, całe godziny siedziałabym i patrzyła na niego w milczeniu. On nie jest piękny!—mówię sobie czasem; a jednak tak miło mi nań patrzeć! Zapewne czuję ja dobrze, że dla mnie to on tak myśli i pracuje. Piérwsze jego spójrzanie, ile-

kroć podniesie oczy, mówi mi o tém; a czegoż więcej sercu trzeba?

FABRYCY.

Ani słowa, Marijo! Lecz mąż, któryby też ciągle myślał o tobie—

MARIJA.

Przy tém jeszcze rzecz jedna: wszyscy wy macie swoje cierpkie momenta, i Wilhelm niewa swoje; ztémwszystkiém w nim one mię nie rażą, a w każdym innym byłyby nie do zniesienia. Nachodzą na niego czasem jakieś ciche chwile, i wtedy odpycha on moje najprzychylniejsze uwagi i pociechy. Jużcić nie może być, aby mię to nie zabolalo. Ale że te kwasy trwają zwykle krótko, jeśli więc nań i pogderam trochę, to dla tego, że nie chce on

widzieć mojego przywiązania, a nie dla tego, iżbym go mniej kochała.

FABRYCY.

Gdyby przecież znalazł się ktoś taki, coby się odważył na to wszystko i ofiarował ci Marijo swą rękę?

MARIJA.

Nie znajdzie się pewnie! a przytém zachodzi jeszcze pytanie, czylibym się ja odważyła?

FABRYCY.

Dla czegoż-by nie?

MARIJA.

Bo pewnie się nie znajdzie.

FABRYCY.

Marijo! masz go.

MARIJA.

Fabrycy!

FABRYCY.

Widzisz go przed sobą. Trzeba-ż mi mówić długo? Trzebaż, abym wywnętrzył wszystko, com tak długo krył w sercu? Kocham cię; o tém wiész dawno. Oddaję ci teraz mą rękę; tego zapewne się nie domyślalaś: bom nie widział nikogo z twojej plei, komu-by mniej od ciebie była wiadomą własna potęga. Marijo! nie zaślepiony to i zapalony kochanek mówi do ciebie. Znam cię dosyć. Wybieram cię na towarzyszkę życia; mam majątek dostateczny; chcesz-że być moją? Serce me doznało nie jednéj boleści i nie jednego zawodu. Nieraz już postanawiałem sobie na resztę życia pozostać samotnym. Masz mię teraz, i nie odrzucaj! Wszakże mię

znasz, i wiész o tém, jakieśmy ściśle połączeni z twym bratem! Nigdy związek czystszy, bezinteresowniejszy, nie może ci się zdarzyć. Otworz-że twe serce! Słowo, Marijo!

MARIJA.

Kochany Fabrycy! dozwol mi czasu— ja mu sprzyjam.

FABRYCY.

Powiedz, że mię kochasz! Bratu twojemu ja zostawiam jego miejsce; będę bratem twojego brata; będziemy mieli spólnie o nim staranie; złączywszy nasze majątki, oszczędzimy mu godzin ciężkiej pracy: nabierze on znowu lepszej myśli, będzie mógł— ale Marijo, nie chciałbym, aby mi było trzeba cię namawiać.

MARIJA.

Fabrycy! to mi nigdy nie przyszło na

myśl... W jakim-że mię stawisz położeniu!

FABRYCY.

Tylko słowo: czy mogę mieć nadzieję?

MARIJA.

Pomów o tém z moim bratem.

FABRYCY *(klęka)*.

Aniele! najdroższa!

MARIJA

*(po chwili milczenia)*.

Boże! cóżem ja powiedziała? *(Wychodzi)*.

FABRYCY.

Ona jest twoją!... Mogę śmiało tój lubój dziecinie pozwolić i nadal tego szczególnego bratobóstwa. Powoli przejdzie to samo przez się, gdy się bliżej poznamy; i on na tém nie straci.— Jakże mi słodko,

że raz jeszcze tak kocham i żem kochany! Jest to widać rzecz, która nigdy nie traci smaku i uroku. Będziemy mieszkali razem. I bez tego, oddawna miałem już zamiar dopomódz sumiennój oszczędności tego dobrego człowieka i dać mu nieco więcej przestrzeni w obrótach. Jako szwagier, przyłożę się do tego tém naturalniej. Inaczéj stetryczał-by on nam zupełnie ze swémi wiecznemi przypomnieniami, rozmyślaniami, pamiątkami i tajemnicami. Wszystko tedy będzie dobrze! On sobie swobodnie odetchnie. Dziewczyna dostanie męża—co nie fraszka w tych czasach!.. a ty nareście z honorem pojmujesz żonę—i to podobno najlepiej!

*(Wraca WILHELM)*.

FABRYCY.

Już tedy z przechadzki?

## WILHELM.

Pochodziłem trochę po rynku, po ulicy Plebanalnej, i wróciłem przez Rupiecką. Szczególnie robi na mnie wrażenie nocna przechadzka po mieście. Po dzienniej pracy jedni już spoczywają, drudzy zabierają się do spoczynku; same tylko biedniejsze rzemiosła jeszcze w ruchu. Patrzyłem długo z przyjemnością na starą jedną przekupkę séra, jak ona w okularach, przy malutkiej świeczce, to krajala, to odkraiwala swój towar po odrobinie, nim go przyszło jak raz do wagi.

## FABRYCY.

Każdy robi postrzeżenia w swoim rodzaju. Wielu zapewne przeszło tamtędy, nie popatrzawszy ani na przekupkę, ani na jej okulary.

## WILHELM.

Najmilszy zysk z własnej pracy, choćby i najmniejszy. Jest on tém szanowniejszym w mych oczach teraz, gdy wiem, z jakim trudem przychodzi talar zbierany groszami. (*Zamyśla się na chwilę*). Ztém wszystkiém smutną miałem przechadzkę. Tyle rzeczy przychodziło mi na myśl, razem i z osobna— a co najgłębiej w duszy... (*Nie kończy i patrzy w ziemię zadumany*).

FABRYCY (*na stronie*).

Nie głupstwo-ż to, że jak tylko się z nim zejde, nie śmiem mu jakoś wyznać, że kocham Mariją. Trzeba mu jednak opowiedzieć, co zaszło. (*Głośno*) Wilhelmie! powiedz mi: wszakże chcesz stąd się wynieść? Mieszkanie twoje ciasne i drogie. Czy-ś sobie upatrzył inne?

WILHELM (*roztargniony*).

Nie.

FABRYCY.

Myślałem, że moglibyśmy temu zaradzić. Ja mając taki obszerny dom po rodzicach i zajmując sam tylko piętrowy, mógłbym ci cały dół wypuścić. Wszakżeż nie żenisz się jeszcze tak prędko? Otoż miałbyś dziedziniec, magazyn na towary, plac-byś mi niewielkie czynszowe — i oba na tém dobrzebyśmy wyszli.

WILHELM.

Jesteś bardzo dobry. W rzeczy samój przychodziło mi nieraz na myśl, gdym bywał u ciebie i widział tyle lóznego miejsca, wtedy, gdy ja u siebie nie mam gdzie się obrócić. Ale przeciw temu są inne rzeczy... Niéma co o tém myśleć... dajmy pokój!

FABRYCY.

A toż znowu dla czego?

WILHELM.

A jakbym ja się ożenił?

FABRYCY.

To i temu można zaradzić. Skoro jest dosyć miejsca dla ciebie i siostry, równieby je mogła zająć i twoja żona.

WILHELM (*uśmiechając się*).

A moja-ż siostra?

FABRYCY.

Tę biorę już na siebie.

(WILHELM *milczy*).

FABRYCY.

Posłuchaj, Wilhelmie! — bez tych koro-

wodów... ja Mariją kocham — daj mi ją za żonę.

WILHELM.

Jak to?

FABRYCY.

Dziwić się nie masz potrzeby! Daj mi tylko twoje słowo! Posłuchaj, bracie! Ja kocham Mariją, i namyśliłem się dobrze, że ona jedna, tylko ona jedna, mogłaby mię uczynić szczęśliwym na świecie. Dajże mi ją, daj, Wilhelmie!

WILHELM (*pomięszany*).

Nie wiesz, czego żądasz.

FABRYCY.

Ach! wiem, wiem dobrze! Mam-że ci mówić o wszystkiém, czego mi braknie, i co mieć będę, gdy ona zostanie mą żoną a ty szwagrem?

WILHELM

(*nagle budząc się z zamyslenia*).

O! nigdy! nigdy!

FABRYCY.

Cóż to znów znaczy? Ranisz mnie... Byłaż-by to odraza? Jeżeli prędzej czy później musisz mieć szwagra, to dla czegożbyś go nie chciał mieć we mnie, którego znasz, któremu sprzyjasz? Tak przynajmniej sądziłem.

WILHELM.

O, zostaw mnie!... straciłem rozum.

FABRYCY.

Winienem ci powiedzieć wszystko. Od ciebie jednego los mój zawisł. Ona ma do mnie serce. Nie mogłeś tego nie dostrzedz. Wprawdzie więcej niż mnie, ko-



cha teraz ciebie; ale z tém jestem spokojnym. Z czasem pokocha męża więcej, niż brata. Ja wstąpię w twoje prawa, ty w moje, i wszyscy będziemy radzi. Nigdy może podobny związek naturalniej i szczęśliwiej się nie zawiązywał.

(WILHELM *milczy*).

FABRYCY.

I wszystko uwieńczy jedno twoje słowo, twoje zezwolenie, mój drogi! Powiedz jej, że to cię cieszy, czyni cię szczęśliwym. Jój słowo mam już.

WILHELM.

Jój słowo?

FABRYCY.

Rzuciła mi je razem z poźegnalmém spójzeniem, które powiedziało mi więcej, niż wszystko. Jój zakłopotenie i miłość, wy-

znanie i przestkach własnej woli, jakże były piękne!

WILHELM.

Nie, nie!

FABRYCY.

Ja cię nie pojmuję. Jestem pewnym, że nie masz ku mnie wstrętu, a jednak się wzbranasz. Nie bądź takim, Wilhelmie! nie rób żadnych przeszkód jój szczęściu i memu szczęściu. Wreście ja myślę zawsze, że i ty będziesz z nami szczęśliwym. Nie odmawiaj-że moim życzeniom twojego słowa—przychylnego słowa!

(WILHELM *milczy, miotany walką wewnętrzną*).

FABRYCY.

Nie pojmuję cię doprawdy.

WILHELM.

Ona?—ty masz ją mieć?..

FABRYCY.

Cóż to jest?

WILHELM.

A ona ciebie?...

FABRYCY.

Ona mi odpowiedziała jak dziewczynie przystało.

WILHELM.

O, idź, idź sobie! Marijo!... Jam to przewidywał, przeczuwał!

FABRYCY.

Powiedz mi tylko...

WILHELM.

Co ci powiedzieć?—Otoż to właśnie, co dzisiejszego wieczora leżało mi na duszy, jak gradowa chmura!—ból serca, tęskno-

ta śmiertelna. Bierz ją! weź ją! moją jedyną! moje wszystko!

(FABRYCY patrzy nań w milczeniu).

WILHELM.

Bierz ją! Iabyś wiedział, co mi bierziesz—*(po pauzie, nieco spokojniej)* Opowiedałem ci o Karolinie, o tym aniele, który z mych rąk wionął, zostawując mi tylko swoje podobieństwo—swoją córkę.. Otoż ta córka (kłamalem przed tobą) nie umarła: tą córką jest Marija!—Marija, czy słyszysz? nie jest moją siostrą!

FABRYCY.

Do tego nie byłem przygotowanym.

WILHELM.

A ja tego od ciebie byłem powinien się lękać! Dla czegoż nie usłuchałem serca,

i nie zamknęłam przed tobą mojego domu, jak i przed wszystkimi, gdym się tu dostał? Tobie jednemu dozwolilem wstępu do téj świątyni, i ty przez swoją dobroć, przyjaźń, otwartą dla mnie pomoc, i pozorną oziębłość dla kobiet, potrafilesz mię uśpić. Jakem sam dla niej okazywał się zawsze bratem, tak i twoje względem niej uczucia miałem jedynie za braterskie; i choć mię czasem budziło podejrzenie, odtrącałem je zawsze jak myśl nieszlachetną: bo jéj dobroć ku tobie przypisywałem anielskiemu sercu, które na cały świat patrzy jednakiem spójrzaniem miłości.— A ty... a ona!...

FABRYCY.

Nie podobna mi ani słuchać twych słów dłużej, ani znaleźć coś im na odpowiedź.

Najlepiej więc, gdy teraz zejde ci z oczu. (*Wychodzi*).

WILHELM.

Idź, idź tylko!.. Unosisz z sobą cale me szczęście. Tak przecięte i zniszczone wszystkie moje zamiary—u celu—i razem—w przepaść! I ten most złoty, czarodziejski, runął, po którym miałem przejść do raj! Wszystko!!... i wszystko to z laski zdrajcy, który tak nadużył otwartości, zaufania!.... O Wilhelmie! Wilhelmie! zapędzasz się do tyła, że jesteś niesprawiedliwym względem dobrego człowieka!... I w czym-że ci się on przeniwierzyl?... O, ciężko, straszliwie i słusznie dotykasz mię losie twą zemstą!—Czego-ż tam stoisz?... I ty!... tu!... i w téj właśnie chwili!... Przebacz mi! Czyli-żem za to nie ucierpiał? Przebacz!—Tak daw-

no! Ucierpiałem okropnie! Okazywałem ku tobie miłość — zdalo się, żem cię kochał — myślałem, wierzyłem, żem cię kochał; płochemi zabiegami i staraniami zmiękczyłem twe serce — i straciłem, zabiłem cię w ostatku! Przebacz i opuść mię. Mam-że tak być karanym? Mam-że stracić Mariją! ostatnią z moich nadziei, cel wszystkich mych starań? To być nie może! to być nigdy nie może! (*Stoi w osłupieniu*).  
(*Nadchodzi MARIJA*).

MARIJA

(*zbliżając się nieśmiało*).

Bracie!

WILHELM.

Ach!

MARIJA.

Rochany bracie! musisz mi przebaczyć, we wszystkiem przebaczyć. Gniewasz się

na mnie, to już wiem pewnie. Zrobiłam niepojęte głupstwo — aż dziw mnie saméj.

WILHELM

(*przychodząc do siebie*).

Cóż tam? moja Panno!

MARIJA.

Chciała-bym wszystko modz ci opowiedzieć. Ale tak mięsza się mi w głowie... Fabrycy chce mię za żonę, i ja —

WILHELM

(*na pół z goryczą*).

Mów od razu: i tyś na to przystała?

MARIJA.

O, nie, za nic w świecie! Nigdy nie pójdę za niego; nie mogę pójść za niego.

WILHELM.

To-ż odmienny język!

MARIJA.

Dziwnie zapewne, bardzo dziwnie! Widać, że jesteś zły na mnie, kochany bracie! Zeszląbym ci lepiej na jaką godzinę, jeśli by mi serce nie naciskało wyznać od razu, że ja za Fabrycego wyjść nie mogę.

WILHELM

*(zbliżając się do niej szybko i biorąc za rękę).*

Jak to? Marijo!

MARIJA.

Jak on tu był, to mówił tak wiele i tak mi rozmaicie tę rzecz przedstawiał, że mi przypuściła na chwilę, iż to być może. Zaczął potem tak nastawać na mnie, że nie pomyśliwszy, powiedziała mu, aby o tém pomówił z tobą. Więc on wziął to sobie za moje zgodę. Ja jednak zaraz

w tym momencie uczułam, że to być żadną miarą nie może.

WILHELM.

Mówił on ze mną.

MARIJA.

Proszę ciebie i zaklinam na wszystko, jak ja ciebie kocham i jak ty mnie kochasz, napraw tę rzecz i wyperswaduj mi!

WILHELM *(na stronie).*

Wielki Boże!

MARIJA.

Nie gniewaj się na mnie! On także pewno się nie nagniewa. Będziemy sobie żyli znowu jak wprzód i zawsze tak samo. Bo ja tylko z tobą, tylko z tobą jednym żyć mogę. To musiało być zawsze

w mojej duszy; a teraz dopiero się wykryło, że ja kocham tylko ciebie!

WILHELM.

Marijo!

MARIJA.

Dobry mój bracie! co przez ten kwadrans, ja ci nie mogę wypowiedzieć, co to było i przebyło w mojem sercu! Tak zupełnie, jak kiedy ostatnią razą paliło się na rynku, i z początku dym i mgła stały nad wszystkiem, a potem nagle dobył się ogień i cały dom pokazał się w płomieniu. Nie opuść mnie! nie odpychaj od siebie! kochany bracie!

WILHELM.

Ale przecież zawsze tak być nie może.

MARIJA.

Toż mnie właśnie i trapi. Ja ci przy-

rzekam na wszystko, że nigdy nie wyjdę za mąż, że zawsze będę cię dopatrywała; zawsze, zawsze tak samo, jak teraz. Ot wszak na górze nad nami mieszka także rodzeństwo, brat z siostrą. Nieraz sobie pomyślałam żartem: gdybyśmy i my z sobą, choć tak starzy, siwiutcy, ale razem!...

WILHELM

*(poskramiając się z trudnością — na stronie).*

Jeżeli teraz wytrzymam, to nie nigdy już mię nie zachwieje!

MARIJA.

Ty sobie zapewne nie tak myślisz; z czasem, z czasem, ożenisz się może; i mnie na sercu zawsze będzie smutno, choćbym twą żonę Bóg wie jak kochać chciała: bo nikt cię nie może i nie będzie kochał więcej nade mnie.

(WILHELM usiłuje przemówić).

MARIJA.

Tyś zawsze taki skryty, taki milezący, że choć nieraz miałam już na ustach i chciałam ci wyznać całą prawdę, tom się nie odważyła. Chwała-ż Bogu, że przynajmniej ta okoliczność rozwiązała mi język.

WILHELM.

Dosyc, Marijo! dosyc!

MARIJA.

Nie, nie przeszkodzisz mi, wypowiem już wszystko! a potem wrócę do kuchni, cały dzień będę siedziała przy mojej robocie; i tylko sobie czasem spojrzę na ciebie, jakby chcąc powiedzieć, że wiész już wszystko!

(WILHELM milczy w uniesieniu najżywszej radości).

MARIJA

Mogłes o tém wiedzieć dawniej: bo od śmierci méj matki, gdym wyszła z dzieciństwa i była ciągle przy tobie... otoż mogłes dobrze widzieć, że okazywałam więcej radości z pobytu przy tobie, niż wdzięczności za twoje o mnie więcej niż braterskie starania. I powoli, powoli takżeś podbił całe moje serce i głowę, że teraz nie wiem już, czy byłoby tam choć trochę miejsca dla kogo innego. Śmiałes się ze mnie nieraz, gdym czytała romanse. Raz zwłaszcza (nie wiem, czy to sobie przypominasz?) gdym czytała *Juliję Mandeville*, i zapytywała cię, czy Henryk (zda mi się, że Henryk) nie był do ciebie podobnym? śmiałes się z tego do rozpuku. To mi się nie podobało. Nie zadawałam ci już więcej takich pytań, ale zawsze

były mi one w myśli: bo co tylko najmilszego i najlepszego znajdowałam o mężczyznach, wszystko to stosowałam do ciebie. Widziałam cię przechadzającego się po pięknych ogrodach, jadącego na koniu, podróżującego, pojedynkującego—  
(*Odwraca się i parska ze śmiechu*).

WILHELM.

Czemu-ż to?

MARIJA.

Bo muszę wyznać także, że ile tylko razy jaka dama była bardzo piękna—i bardzo dobra—i bardzo kochana—i bardzo zakochana—to już to była zawsze moja godność! (*Śmieje się*). A kiedy nakoniec następowało rozwiązanie i po wszystkich przeszkodach oni się brali—Nie prawda-ż, że dobra ze mnie, szczerą, nieudana dusza!

WILHELM.

I cóż dalej? (*Odwracając się*) Muszę spełnić całą tę czarę radości. Dodaj mi sił tylko, mój laskawy Boże!

MARIJA.

Lecz co mnie zawsze najbardziej gniewało, to jeśli doczytam się bywało na końcu, że kochankowie są z sobą spokrewnieni albo w rodzeństwie. *Miss Fanny* dziś-bym spaliła! Ile ja wyplakałam!! I cóż-bo to jest za los nieszczęśliwy, okropny! (*Odwraca się z płaczem*).

WILHELM

(*rzucając się jej na szyję*).

Marijo! moja Marijo!

MARIJA.

Wilhelmie! nie, nie! ja cię nigdy nie



opuszczę! Ty jesteś moim! zawsze! Ja cię nie mogę opuścić. (*Wchodzi FABRYCY*).

MARIJA.

Ach! dobrze! Fabrycy! Jakże przychodzisz w porę! Serce me otwarte i ma moc potrzebną. Jam ci nie nie przyrzekła. Bądź dla tego naszym przyjacielem; ale twą żoną nie będę nigdy!

FABRYCY

(*zimno i z goryczą*).

Wiedziałem o tém, Wilhelmie, że gdy rzucisz całą twą wagę na szalę, to ja będę zbyt lekkim. Wracalem tu dla zrobienia jakiegokolwiek ulgi mojemu sercu; chcialem się wyrzec wszystkich mych praw i domagań; ale widzę, że się rzeczy same

już ułożyły. Cieszy mię przynajmniej, że był do tego niewinnym powodem.

WILHELM.

Nie znieważaj mię w téj chwili i nie pozbawiaj siebie uczucia, którego-byś potem próżno szukał po świecie. Patrz na nią—ona jest moją—i o tém nie wié!

FABRYCY (*pół-szyderczo*).

I o tém nie wié?

MARIJA.

Ja o tém nie wiem?

WILHELM.

Tu klamać? Fabrycy!...

FABRYCY (*tknięty*).

Ona zaś nie wié?

WILHELM.

Ja ci mówię.

FABRYCY.

O, życie szczęśliwie! jesteście siebie godni!

MARIJA.

Cóż to?

WILHELM

*(całując ją i przyciskając do piersi).*

Że jesteś moją, Marijo!

MARIJA.

Ale Boże mój! cóż to? Jakże ty mię całujesz? bracie! jakie-ż to pocałowanie?

WILHELM.

Nie obojętnego, zimnego na pozór brata, ale szczęśliwego, wiecznie twojego kochanka. *(Pada jej do nóg).* Marijo! ty nie

jesteś moją siostrą! Karolina była twoją matką, nie moją.

MARIJA.

Ty! ty!

WILHELM.

Twój na zawsze.... narzeczony!... i za chwilę małżonek, jeśli nim nie gardzisz.

MARIJA.

Powiedz mi, jak to być może?

FABRYCY.

Jesteście szczęśliwi, jak nawet sam Bóg raz tylko zdarzyć wam to może. Bierz go, Marijo, i nie pytaj o nic. Będziecie mieli dość jeszcze czasu do objaśnić.

MARIJA *(patrzac nań).*

Nie, to nie podobna!

66

WILHELM.

Moja jedyna! moja żono!

MARIJA

*(rzucając się mu na szyję).*

Wilhelmie! to nie podobna!—

**K o n i e c .**



283862 25  
Biblioteka Główna UMK



300020791534

